

Jan Maciejewski: Luty. Wzruszaj ziemię

Tak jak żadna wizyta nie zaczyna się od posiłku, tylko od dzwonka do drzwi, przywitania, zdjęcia kurtek i butów, pierwszych niezobowiązujących rozmów, tak spotkanie z ziemią nie zaczyna się od wrzucenia w nią nasion. Z glebą trzeba się najpierw przywitać, zaniepokoić ją, jak pukanie do drzwi niepokoi gospodarzy – pisze Jan Maciejewski.

Karnawał zaczyna już widzieć swój koniec. Zbiera się w sobie i podejmuje ostatnie wysiłki, chociaż świat za oknem nie sprzyja zabawie, a ciała mają do niej coraz mniej sił. Nocny wiatr budzi niespokojne myśli, minęła już euforia nowego roku. Zbliża się przednówek, kończą zapasy jedzenia, pomysłów i postanowień. Mimo to, a może właśnie dlatego, luty to miesiąc, kiedy trzeba wrócić do pracy. Tej, której efektów można się zacząć dopatrywać dopiero za jakiś czas. Ale bez wykonania której wiosna nie przyjdzie, a przynajmniej nie do nas. Trzeba opuścić ciepło domów, magiczne złudzenia zabawy i wrócić do tego, co najbardziej realne. Do ziemi.

Tak jak żadna wizyta nie zaczyna się od posiłku, tylko od dzwonka do drzwi, przywitania, zdjęcia kurtek i butów, pierwszych niezobowiązujących rozmów, tak spotkanie z ziemią nie zaczyna się od wrzucenia w nią nasion. Z glebą trzeba się najpierw przywitać, zaniepokoić ją, jak pukanie do drzwi niepokoi gospodarzy. Podnosi

poziom emocji – irytacji, strachu, nadziei lub ekscytacji – wszystko zależy od tego, kto puka. Z czym do nas przychodzi, w jakim celu narusza ustalony porządek dnia.

Wiosna jest czasem roślin, przednówek – ziemi. To ją uprawiamy w tym miesiącu, czy jak kto woli – niepokoiimy. Gleba, tak jak ogień, potrzebuje powietrza. Zapewniamy jej przewiewność przekopując, traktując szpadlem, motyką i grabiami. Rozruszanie ziemi dodaje jej wigoru. Sprawia, że jest gotowa na przyjęcie nasion. „Połaskocz starą dobrą Matkę Ziemię i spraw, żeby rodziła owoce” – krzyczeli do siebie machając motykami bohaterowie powieści Flory Thompson, „Z Lark Rise do Candleford”. Drzewa, kwiaty, rośliny uprawne – cały orszak wiosny może jeszcze spać spokojnie. Ale ziemia musi się obudzić już teraz. Nie ma w lutym ważniejszego zadania, niż przygotowanie gruntu pod to, co ma wydarzyć się w kolejnych miesiącach.

Stary Wspaniały Świat był krainą wolności. Luty przypomina o tym w sposób (dosłownie) fundamentalny, to z niego wolność zaczyna wyrastać i piąć się w górę, rusza w podróż, której kolejnymi przystankami są pozostałe miesiące. „Musimy odzyskać dostęp do ziemi – pisze w książce „Stary wspaniały świat” Tom Hodgkinson – Ziemia leczy, daje odpoczynek i pożywienie. Może uwolnić od niewoli zarabiania. I przynosi niezależność. Musimy zbratać się na nowo z bogami wsi i z całą mocą przeciwstawić się idei wielkich miast”. Bez stałego, intymnego („połaskocz Matkę Ziemię”) kontaktu z glebą grunt usuwa nam się spod stóp. Jakikolwiek wzrost przestaje być organiczny. Jest tylko sztucznie napędzaną gorączkowością. Kto na przednówku nie grzebie w ziemi, ten nigdy nie zbierze dojrzałych owoców swego talentu.

*Dlaczego zakochani obchodzą
swoje święto właśnie teraz?
Nie w kwietniu, kiedy natura
zaczyna gorączkową rozglądać
się za wszystkim, co może
zapewnić jej dalsze trwanie?*

Stary świat był dużo
bardziej logiczny niż
nasz. Nie wykonywał
fałszywych ruchów.
Z tą samą
przezornością
umieszczał w
kalendarzu
gospodarskie

obowiązki co święta i rytuały. Jedne i drugie miały swoją rację tylko w tym konkretnym momencie roku. Skoro więc nie sieje się nasion jesienią, dlaczego zakochani obchodzą swoje święto właśnie teraz? Nie w kwietniu, kiedy natura zaczyna gorączkową rozglądać się za wszystkim, co może zapewnić jej dalsze trwanie ani w czerwcu, gdy nawet nocami powietrze dyszy pożądlivością? Ten moment przekazuje nam kluczową informację na temat zakochania. Że bardziej niż cokolwiek innym jest niespodziewaną wizytą. Tak jak ona, w pierwszym odruchu wywołuje irytację i zniecierpliwienie. Narusza przecież porządek, zmusza do przełożenia planów, odłożenia innych zajęć na później. Jest wtargnięciem niezapowiedzianego gościa w ustalony porządek naszego życia. Niepokoi, narusza to wszystko co dawniej było odłożone bezpiecznie na swoje miejsce. A nade wszystko, robi to samo co szpadel i grabie z glebą – wpuszcza powietrze. Przygotowuje grunt dla przyszłych zdarzeń. Organiczny wzrost miłości bierze na siebie wiosną. Za jej szaleństwa odpowiada lato, próbą dla niej są jesienne chłody. Ale zakochanie to rzecz lutego. Miesiąca, w którym nie tylko ziemi należą się wzruszenia i niepokoje.

Zima nas otulała i kryła. Ziemię śniegiem łaskawym, karmiła. Maleńkie życie strawą suchych kłaczy.

T. S. Eliot, „Ziemia jałowa”

Drogi Piotrze,

Piszę do Ciebie w zaufaniu, z nadzieją, że nie pokażesz tego listu nikomu innemu. Gdy ostatni raz się widzieliśmy, powiedziałeś, iż nikt Ci nie wierzy, że nie wiesz co się ze mną stało, dlaczego postanowiłem odejść. Skoro tak, to nie zmieni Twojej sytuacji znacząco fakt, że jednak się o tym dowiesz. Na początek oczyścimy przedpole z najczęściej pojawiających się hipotez. Nie oszalałem, przynajmniej na tyle, na ile jestem to w stanie stwierdzić. Za moją decyzją nie stoi załamanie nerwowe, zawodowe wypalenie ani też żadne z typowych dziwactw wieku średniego. Stwierdzam to wprost i stanowczo, ponieważ kiedy skończysz czytać mój list zapewne odczujesz pokusę dopasowania któregoś z tych pojęć do mojej aktualnej sytuacji. Już z wyprzedzeniem więc pozwolę się z Tobą nie zgodzić.

Dlaczego właśnie Ciebie wybrałem na adresata tych wynurzeń? Zналиśmy się – niech policzę – dwadzieścia pięć lat. Studia, doktorat, instytut. Teraz nareszcie mogę wyznać, że zawsze Ci zazdrościłem. Staralem się nadrobić swoimi lekturami, to, co Ty dostałeś w pakiecie. Tę pociągającą nieobliczalność, magię nieprzewidywalności. Tam, gdzie inni robią przypis, Ty otwierasz nowy wątek. Ruszasz w nieznanne. Moje wykłady i artykuły były wyczerpujące, logiczne, uporządkowane. Twoje

miały w sobie tę iskrę, która przyciąga uwagę. Piszę o tym z ulgą, tak długo sam nie potrafiłem nazwać tego, co mnie przy Tobie trzymało i irytowało jednocześnie przez wszystkie te lata. Teraz, kiedy prawdopodobnie nigdy się już nie zobaczymy, mogę mówić wreszcie szczerze – docenię proszę ten gest tak, jak na to zasługuje. Sam wiesz jak rzadko mówi się wśród nas otwarcie. Nie, nie zacznę pisać tych wszystkich rzeczy, z których Ty sam doskonale zdajesz sobie sprawę. Byłem częścią tego świata zbyt długo, żeby teraz zacząć pomstować na jego grzechy i słabości. Były również moimi. I to nie ze względu na nie odszedłem, więc nie należą do tej historii. W przeciwieństwie do Ciebie nie potrafiłem być jedną nogą poza tym wszystkim. Piszę do Ciebie właśnie z tego powodu. Może dzięki temu zrozumiesz; nie potępisz ani nie przykłaśniesz, ale właśnie zrozumiesz.

Wszystko zaczęło się od habilitacji. Moja pozycja została potwierdzona, znalazłem się wreszcie w miejscu, do którego zawsze dążyłem. I wtedy przestało mi się chcieć. Wszystko zaczęło się toczyć poza mną. Nawet usta podczas wykładów otwierały się bez udziału mojej woli. Łapałem się na tym, że przysłuchuje się sobie jak komu obcemu. Mówiłem, ale nie słyszałem słów, tylko melodię głosu. Jednostajną, harmonijną, logiczną. I nawet całkiem przyjemnie się jej słuchało, ale to nie był mój głos. Znałem swoją rolę, ale to była tylko rola. Jakby wszystko, co miałem do zrobienia w tym miejscu, tej sali, budynku, już się dokonało. A ja tylko muszę pojawić się w ustalonej porze i nacisnąć przycisk magnetofonu, z którego poleci nagranie. Jak muzyk grający z playbacku. Przestałem się męczyć, jeśli wiesz o co mi chodzi. Mam tu na myśli ten rodzaj zmęczenia, jaki odczuwa się podczas biegu (startujesz w tych swoich półmaratonach więc domyślam się, że rozumiesz co mam na myśli). Po wszystkim nie możesz złapać tchu, ale w żyłach oprócz krwi krąży coś jeszcze. Rozgrzewająca satysfakcja, jakbyś przed czymś uciekł lub coś dogonił. A ja stałem w miejscu. Po

wykładach szedłem na kawę, odwiedzałem księgarnie, w domu słuchałem muzyki, wypełniałem wszystkie obowiązki, ale wciąż stałem w tym samym miejscu. Nie miałem już przed czym uciekać, nie było za czym gonić. Nawet Ty nie zauważyłeś tej zmiany, chociaż byłeś najbliżej.

Od kiedy przestałem się skupiać na tym co mówię podczas wykładów, nie potrzebowałem już notatek, zacząłem się rozglądać po sali. Po tylu latach po raz pierwszy spojrzałem na ich twarze. Najbardziej złościli mnie ci, którzy nie przestawali notować. Nawet kiedy podnosili głowy znad kartek nie było w ich oczach nic pociągającego. Wypełniała je nerwowość, oczekiwanie. Ale takie, które masz w sobie krążąc po sklepie w poszukiwaniu promocji. Oni łapią okazję, nie zastanawiając się, czy to, co wrzucają do koszyka, zapisują na kartkach, będzie im do czegokolwiek potrzebne. Wolałem już tych sennych, zmęczonych życiem dwudziestolatków, po godzinie nerwowo sprawdzających na zegarku jak długo to jeszcze potrwa. Najgorsze było jednak to, że tak jak poznałem swoją rolę, tak też znałem te, które oni odgrywali. Wiedziałem o co im chodzi, nie było w ich twarzach żadnej zagadki. Napięcia, z którego mogłoby się urodzić coś innego, nowego. Jakiś dramat i rola, których bym nie znał. Czułem się jak klawisz, który dopilnowuje wykonania przez nich wyroku. Co najgorsze, wydali go na siebie sami.

I wtedy, jakoś w połowie ostatniego semestru, pojawiła się ona. Już widzę ten pobłażliwy uśmiezek na Twojej twarzy. Doczekałeś się tak długo wyglądane go schematu. Poczekaj, jeszcze niczego nie rozumiesz. Zacznę więc od tego, że nie przykuła mojej uwagi jej uroda. Nie wyglądała jak typowa studentka polonistyki, to prawda. Była bardzo zwyczajna, żadnej asymetrycznej fryzury ani okularów w grubych

oprawkach, ale to również nie ten rodzaj szarej, filologicznej myszki, po kryjomu zaczytującej się po raz setny *Jeźycjadą*. Nie będę opisywał jej wyglądu z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że nie sądzę abyś ją kojarzył, a po drugie – możesz wierzyć lub nie – nie odgrywa on w tej opowieści zasadniczej roli. Na czym więc ona polega?

*To był pojedynek, od którego
nagle zaczęło zależeć
wszystko inne. Znowu
zacząłem się męczyć*

Ona mnie śledziła,
Piotrze. Nie, nie
chodziła za mną po
ulicach, śledziła
mnie na katedrze. To
nawet nie chodzi o
to, że słuchała –

niezwykła rzadkość w naszym zawodzie, prawda? – ale jak to robiła. Jak sędzia śledczy podejrzanego. Przyglądała się każdemu mojemu gestowi jakby mimowolnym zanurzeniem dłoni we włosach miałbym się przyznać do morderstwa ze szczególnym okrucieństwem. Z powodu jej wzroku zacząłem mieć wyrzuty sumienia, gubiłem wątki, jąkałem się. Na początku próbowałem ją ignorować, ale wtedy było jeszcze gorzej. Jakbym przyznawał się przed nią do winy. Musiałem się z nią zmierzyć, wytrzymać to spojrzenie. Ostatnie cztery czy pięć wykładów wygłosiłem już tylko praktycznie do niej. Nie było w jej twarzy złości, tylko jakaś niespotykana czujność. Uprzedzę Twoje pytanie – nie, nie było tam również śladu zalotności. Ona tam była – wiem, że to dziwnie zabrzmie – żeby mnie sprawdzić. To był pojedynek, od którego nagle zaczęło zależeć wszystko inne. Znowu zacząłem się męczyć. Kiedy udawało mi się zachować płynność wyводу, czasem zdobyć nawet na jakiś żart, popisać niespodziewaną dla nich erudycją – wytłumaczyć im Dantego w świetle jakiegoś popkulturowego toposu – czułem się przez chwilę zwycięzcą. Ale jej wzrok pozostawał tak samo nieruchomy, nieczuły na wszystkie moje wysiłki. Kiedy semestr się skończył byłem

wykończony. Ale było mi dobrze, po raz pierwszy od dawna budziłem się zanim zadzwonił budzik, zacząłem układać w głowie schemat nowej książki. Przegrywałem ten pojedynek, ale bałem się tylko tego, że ona nie przyjmie wezwanie do rewanżu, nie zapisze się już więcej na moje zajęcia. Czekałem na jej wyrok, na chwilę, w której powie mi, czym zawiniłem. Żadnej sesji, egzaminu nie bałem się tak bardzo jak tego. Wiedziałem, że to nie ja będę pytał. A ona się nie pojawiała.

Zapisała się na ostatni możliwy termin, była połowa lutego. Pamiętam dokładnie chwilę, w której weszła do mojego gabinetu. Refleksy słońca tańczyły na stole, dookoła panowała cisza, senny spokój zimowego przedpołudnia. A mi trzęsły się ręce i kołowaciał język. Wstałem, kiedy weszła. Zanim usiadła naprzeciwko mnie zatrzymała się na dłuższą chwilę przy regałach z książkami. Śledziła tytuły, a może raczej ich układ – to w nim była zapisana informacja na mój temat, jakieś dopowiedzenie wszystkiego tego, czego dowiedziała się podczas wykładów. Oględziny miejsca zbrodni. To ona usiadła pierwsza.

Pytania miałem przygotowane od dawna. Nie wiem w jaki sposób, ale pojawiły się w mojej głowie jeszcze podczas wykładów. Wstęp do literatury średniowiecza i renesansu, grząski grunt w mojej sytuacji, chyba przyznasz. A jednak unikanie konfrontacji byłoby skazaniem się na porażkę. Najgorsze co mogło się stać, to gdyby nic się nie stało. Wiedziałem, że nie byłbym w stanie się wówczas podnieść. Niech nie będzie odroczenia, niech tylko sprawa nie ciągnie się latami. Poprosiłem o sprawiedliwy wyrok.

Zapytałem o Beatrycze. Wszystko co padło po tym imieniu, moje niezdarne, brzmiące jak przeprosiny, doprecyzowanie pytania, coś o relacji między erosem i agape w „Boskiej Komedii”, było już zupełnie niepotrzebne. Przez chwilę milczała, przyglądając mi się po raz pierwszy z bliska, jakby szukała jakiejś widocznej tylko z tej odległości okoliczności łagodzącej. A potem zaczęła mówić o Beatrycze tak, jakby jeszcze przed chwilą szły razem ulicą. Opisała dokładnie kształt jej twarzy, kolor włosów, sposób poruszania się. Nic o erosie, jeszcze mniej o agape, w ogóle – nie było w jej słowach nic z historii literatury ani teorii miłości. Była tylko ona – dziewczyna, w której zakochał się Dante.

Czy muszę dodawać, że to nie miało nic wspólnego z treścią moich wykładów? Znasz mnie przecież wystarczająco dobrze. Ale ta dziewczyna wciąż mówiła, a ja nie chciałem jej przerwać. Opowiadała o drodze Dantego i Beatrycze poprzez Raj, tak jakby to była górską wycieczką. Szlaki, krajobrazy, postaci nie miały w sobie nic z metafory, jeszcze mniej z alegorii. Były żywe, same sobą, własnym losem i przeznaczeniem, do niczego nie odsyłały. Jej słowa nie były cytatami z „Boskiej Komedii”. Były precyzyjne, wyczerpujące, ale stały obok. Tak jakby dokonała własnego przekładu, ale nie w oparciu o tercyny Dantego. A więc o co?

Trzęsły mi się nogi, wiedziałem, że jeśli niczego nie zrobię, nie przerwę jej, stracę nad sobą panowanie. Zacznę krzyczeć albo płakać? Nie, raczej będę ją prosił o przebaczenie, ale najgorsze nie było upokorzenie. Wciąż nie znałem swojej winy, a jej rozmiar powiększał się z każdym jej słowem. – Pani mówi nie na temat – przerwałem jej patrząc w stół. Gdybyś mnie wtedy słyszał, wiedziałbyś, że to zdanie

było prośbą o łaskę. O przejście do sentencji wyroku. Popatrzyła na mnie z wyższością i współczuciem. – To pan mówi nie na temat. Cały czas. Nigdy nie mówi pan o tym, co trzeba.

Bóg jeden wie, ile czasu tak siedzieliśmy. Ja wpatrzony w blat stołu, a ona we mnie. Z takich chwil pamięta się wszystkie szczegóły, każdy krzyk za oknem, szmer topniejącego śniegu, jego grudki obijające się o parapet. Jakieś rozmowy na korytarzu, dobiegające jakby z innego świata. Byłem pokonany, drogi Piotrze. A jednak szczęśliwy. Tamta klęska była najszczęśliwszą chwilą mojego życia. Ach, jak bardzo byłem zmęczony.

Przed nami leżał jej indeks. Zapytałem, czy mam coś do niego wpisać. Jak student, który pyta profesora czy sam może wystawić sobie łaskawą tróję. Odpowiedziała, że nie, że nie będzie jej to do niczego potrzebne. Dopiero wtedy odważyłem się podnieść na nią wzrok. I pierwszy raz – możesz wierzyć lub nie – dotarło do mnie, że jest piękna. Egzamin dobiegał końca, kolejne słowo będzie ostatnim. Nie mogło być więc żadnym innym. – Dlaczego? – zapytałem.

Uśmiechnęła się, nareszcie bez wyższości, ze zrozumieniem i współczuciem. Jakbym pierwszy raz przemówił we właściwym języku. – Ponieważ pan nie wierzy. - Powiedziała to i wstała. Bez pośpiechu podeszła do wieszaka, na którym wisiała jej kurtka. Wtedy naprawdę straciłem głowę, po prostu musiałem coś zrobić. Może ten jeden jedyny raz wszedłem w rolę, w jakiej zapewne widzisz mnie w całej tej historii. Profesora w kryzysie wieku średniego tracącego głowę dla studentki. Kiedy toniesz nie myślisz o tym, jakie dobrać słowa, wrzeszczysz co ci ślina na język przyniesie. Nie chodzi przecież o to, co mówisz, tylko,

żeby ktoś podał ci rękę. A pierwszym i jedynym, co przyszło mi wtedy na myśl był fragment z Milтона: „Od wpływu twoich spojrzeń otrzymuję / Rozrost w każdej cnocie”.

Och, wiem dobrze, widzę Twój uśmiech. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, jak to brzmi i co o mnie teraz myślisz. Ale wiesz, nie dbam o to. W tamtej chwili, teraz i już zawsze będzie się liczyć tylko to, że moje wezwanie zostało usłyszane. Trzymając już dłoń na klamce nie nacisnęła jej tylko odwróciła się w moim kierunku. – Do zobaczenia – powiedziała.

Na kopercie nie znajdziesz adresu zwrotnego. Nie jestem daleko, przynajmniej w geograficznym sensie. Sprzedałem mieszkanie, wyjechałem z miasta. Zabrałem ze sobą dwie walizki, jedna z ubraniami, druga – na książki. Mały ułamek mojego księgozbioru, resztę sprzedałem do antykwariatu. Kiedy tamtego dnia wróciłem do mieszkania, stałem długo przed moją biblioteką. Ściągnąłem z niej potem tylko to, czego teraz potrzebuję. Żadnych opracowań, krytycznych esejów, studiów z historii literatury. Zdziwiłem się, jak niewiele jest tych naprawdę ważnych słów. Tych na temat, zapisanych we właściwym języku. Kiedy skończyłem selekcję, moje półki odetchnęły. Nie dlatego, żebym zdjął z nich jakiś specjalny ciężar. Bardziej jak ziemia, z której nareszcie coś wyrosło.

Pewnie chciałbyś wiedzieć, czym się teraz zajmuję, z czego żyję. Ale to nie należy do tej historii. Liczy się tylko fakt, że mam sporo czasu i ciszę dookoła. Sporo czytam, ale wyłącznie na głos. Jestem jak mnich, który stracił wiarę, albo może zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nigdy nie wierzył. Jeśli musisz już koniecznie włożyć moją historię do jakiejś szufladki to niech to będzie właśnie ta.

Szukam właściwych słów. Wiem, gdzie są zapisane, ale czekam, aż zabrzmią we mnie. Odczytuję je tak, jak duchowni odmawiają brewiarz. I modłę się tylko, żeby nie zaciągał na siebie nowej winy, wymawiając je brudnymi ustami. Brudnymi od niewiary. Ale wiara jest łaską, a ja chcę tylko utorować jej drogę. Tym właśnie obecnie się zajmuję.

Nie wiem, ile to potrwa, nie do mnie należy decyzja. Ale kiedy nadejdzie właściwa pora, będę jej szukał. A kiedy odnajdę powiem, że teraz już wierzę. Tylko nie mogę się pospieszyć, bo ona na pewno pozna, jeśli skłamię.

Byłeś dobrym przyjacielem, lepszym niż ja. Nie proszę Cię o zrozumienie. Po prostu, komuś musiałem to wszystko powiedzieć. Wątpię czy kiedyś jeszcze się spotkamy. A jeśli przypadkiem na siebie wpadniemy, z góry bardzo Cię proszę – rozmawiajmy o wszystkim poza historią literatury.

Z wyrazami szacunku

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury –
państwowego funduszu celowego.*



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego